

JAN MAREK ADAMSKI

nr 31

WYSOKI SĄDZIE!

CENA 1 zł

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI Rok I ŁÓDŹ, 28 września 1958

Dla uniknięcia nieporozumień autor wyjaśnia, iż ma tu na myśli nie konkretny skład sędziowski, który rozpatrywać będzie sprawę Maszynkiewiczów, ale jakiś umowny „sąd w ogóle”, sąd jako taki, sąd jako pojęcie instytucji wymiaru sprawiedliwości.

WYSOKI SĄD ROZPATRYWAĆ BĘDZIE SPRAWĘ DWOJGA MAŁŻONKÓW, OSKARŻONYCH O TO, ŻE POWZIĘLI ZAMIAR POZBAWIENIA ŻYCIA SWOJEGO PIĘTNASTODNIOWEGO DZIECKA I ZAMIAR ÓW WYKONALI.



PONIEWAŻ I JA,

w innym, mało znaczącym i nie ważkim społecznym, tudzież pozabawionym „majestatu i mocy” prawa sensie sprawę tę niniejszym przedstawić będę i rozpatrywać, chciałbym przeto, byśmy się w kilku kwestiach umówili. Oczywiście, będą to kwestie nie wchodzące w zakres Waszych profesjonalnych zainteresowań, sprawy spoza kręgu prawa i wyrokowania. Zaś wysłuchanie mojego poufatego monologu, (który będę przerywał dla opowiedzenia faktów) w niczym nie naruszy ani Waszych praw do niezawisłości, ani żadnych Waszych szczególnych atrybutów, przyznanych Wam przez prawo i zwyczaj.

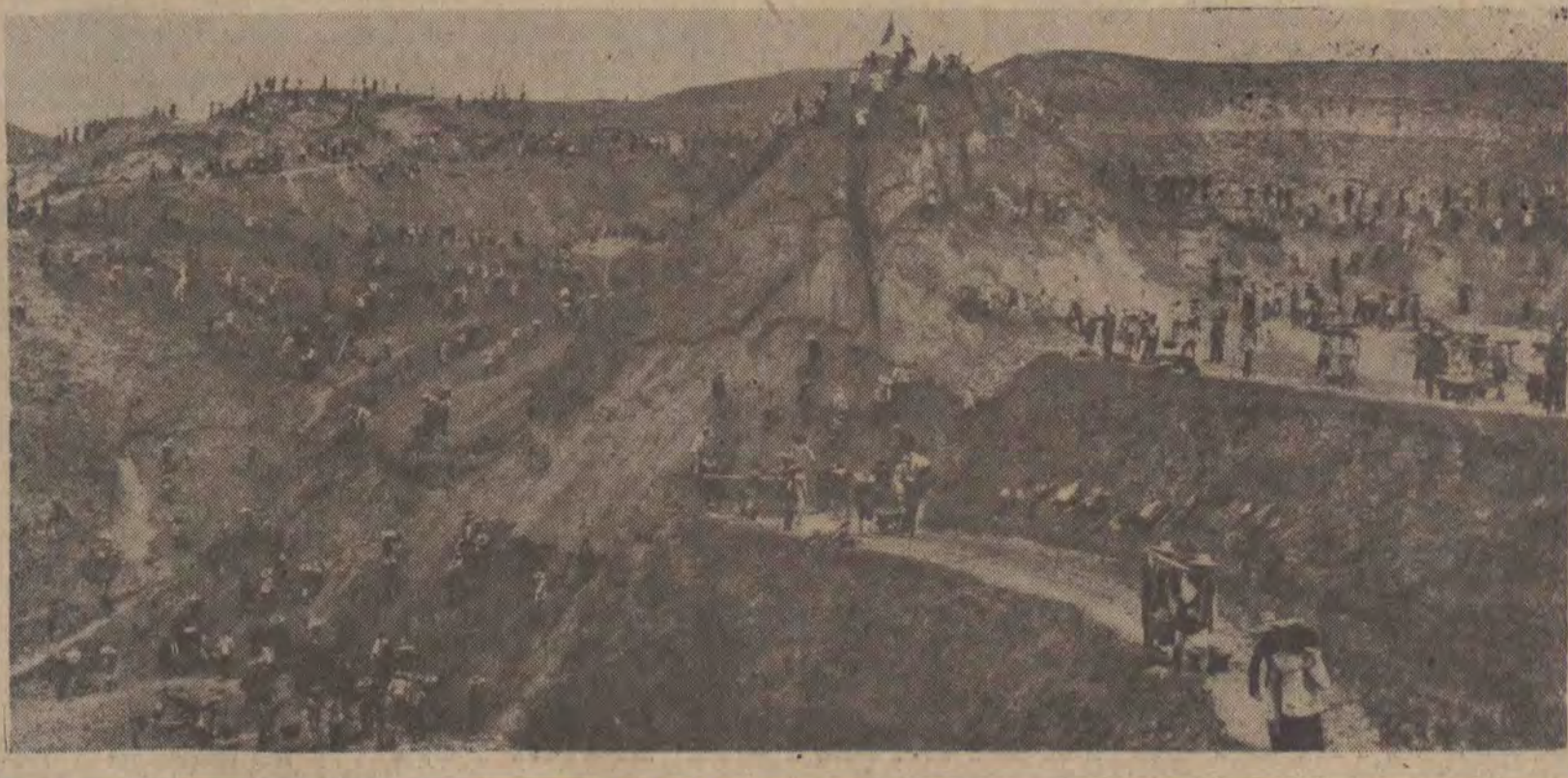
Jeśli jeden dorosły człowiek zabija na zimno drugiego dorosłego człowieka, to jest potępiany w ludzkiej opinii moralnej dlatego, iż uczynił krzywdę zabitemu odbierając mu możliwość dalszej egzystencji.

Człowiek, który zabił człowieka jest jednak przede wszystkim sądzony i karany, ponieważ społeczeństwo nakłada sankcje karne na zabójców z uciążliwych przyczyn samoobronnych.

Spółeczność ludzka złożona z jednostek ludzkich, które na ogół nie chcą być mordowane umawia się i karze każdego, kto zabił istotę mającą ludzki status, niezależnie od jej wieku (czyli zaawansowania świadomości). Ponieważ przyjęta umowa społeczna głosi, iż człowiek w momencie wyjścia z łona matki jest już człowiekiem, a denat nasz miał już za sobą piętnoście dni życia — oskarżeni będą sądeni i jeśli wina zostanie im dowiedziona Ty, Wysoki Sądzie, wydasz wyrok skazujący.

LATA RÓWNE WIEKOM

PATRZ DALSZY CIĄG FOTOREPORTAŻU str. 10



DALSZY CIĄG

3 i 4

PYTANIE DLA RODZICÓW

Nawet tegi historyk miałby dziś pewien kłopot z umiejscowieniem naszej rzeczywistości w czasie i przestrzeni, przynajmniej, gdy chodzi o sprawę wierzeń. W tym zakresie żyjemy, niestety, poza czasem. Wyminął nas wiek pary i elektryczności, wymija wiek atomu. Łódź podwodna przepływa zwycięsko pod lodami północy, rakiety mieszają się z gwiazdami, a u nas obserwujemy zjawiska, które można na dobrą sprawę przyrównać do średniowiecznych wypraw krzyżowych. Czas fiknął koziołką, czas stanął w Polsce dęba!

Oto grupy sfanatyzowanych ludzi, przeważnie kobiety, wdzierają się do szkół i zawieszają krzyże. Ponad 100 osób usiłuje siłą zmusić nauczyciela z Sokolowa, aby napisał podanie do władz w sprawie emblematów religijnych. W Gruszczycach, Wojkowie i innych gromadach powiatu sieradzkiego odprawia się modły za krzyż, który „świątokradca ręką zdjęła ze ścian szkoły”.

Wszystkie te fakty, nie takie znowu liczne, pochodzą w gruncie rzeczy nie z tego świata, są przerażająco anachroniczne. Cywilizowany świat, ubóstwiana przez niektórych krzyżowców „Ameryka” nie zna podobnych sytuacji, nie zna także Francja, Anglia, Szwajcaria, Niemcy czy kraje skandynawskie. Nikomu tam na myśl nie przyjdzie, aby państwowe instytucje przyozdabiać emblematami religijnymi, nie przyjdzie też — z drugiej strony — na myśl zwalczanie wierzeń. Uczucia religijne, jak i wszelkie inne — miłości, przywiązania do tradycji — stanowią tę dziedzicę życia, o której losie decyduje człowiek sam. To jego sprawa. Nie dajmy się więc wyrzucić z XX wieku, nie pozwólmy wyprosić się z Europy.

Nie należy jednak w tej sprawie przesadzać. W Polsce jest dość rozsądnych ludzi, między nimi także i księży, którzy nie pozwolą na wybryki, urągające najpiękniejszej zasadzie, regulującej stosunki pomiędzy ludźmi, zasadzie tolerancji. Można by już w tym miejscu westchnąć ze smutkiem, ukarać winnych i przejść nad całą sprawą do porządku dziennego, gdyby nie jej specyficzny charakter, wybiegający daleko poza problematykę wiary i niewiary.

Rodzice, wdzierający się tu i ówdzie do szkoły nie zdawali sobie zapewne sprawy z tego, że zaatakowali autorytet wychowawcy swych własnych dzieci. Uczynili to w sytuacji bardzo skomplikowanej. Nauczyciel polski jest dziś bardzo młody. Dość będzie przypomnieć, że ponad 60 procent nauczycieli nie przekroczyło 30 lat życia. Zbývá im często na

doświadczeniu, często nie wrosła jeszcze należycie w środowisko. W tych warunkach powinni rodzice, dla dobra swoich dzieci, wspierać autorytet nauczyciela, a nie szkalować go na oczach setek uczniów. To bardzo bolesna sprawa.

Przed kilku laty, w tzw. „minionym okresie” występował nauczyciel na wsi czy w miasteczku w charakterze wielbiąca, czy — jak kto woli — w charakterze „panienki do wszystkiego”. Czego mu na kark nie wrzucano! I spisy opornych w dotychczas, najbardziej ciężkie i niepopularne akcje, odszczurzenie, szkolenie, agitację za spółdzielnią, „dopinianie” zaległości podatkowych, słowem wszystko, co uniemożliwiałoby normalną pracę w szkole. A kiedy zarzucono tego rodzaju formy „mobilizacji mas”, zaangażowany w nie nauczyciel pozostawiony został przez pewien czas samemu sobie. Nastąpił znany kryzys autorytetu wychowawcy.

A dziś? Tam, gdzie na oczach młodzieży obrzuca się błotem nauczyciela, jego autorytet przestaje istnieć, powraca osamotnienie, następuje niedobra przerwa w

procesie wychowania. I co dalej? Podniecona mamusia wraca do domu, uspokaja się powoli, dochodzi w końcu do logicznego wniosku, że przecież nikt w Polsce wiary nie tępi. Mamusia porządku wyrobić nie mogą. Doda zapewne przy okazji, że ma genialne dziecko, wykapaną mamusię, cóż, kiedy ta dzisiejsza szkoła. A o tym przysłowiu — jakie drzewo taki klin, jaki papa taki syn — nieśety, zapomni.

Próby powtórnego osamotnienia nauczyciela, próby obniżenia jego autorytetu, bolesne i średniowieczne w swoim charakterze, są rzadkie, ale bardzo niebezpieczne. W każdym bowiem poszczególnym wypadku chodzi o właściwy stosunek kilkuset młodych do wychowawcy, który ich prowadził w świat. Czy jest gdzieś w świecie możliwe, żeby ten stosunek, rozstrzygający w dużej mierze o obliczu pokoleń, podważała matka, ojciec? Jak na to pytanie odpowiedzą rodzice, choćby z sieradzkiego powiatu?

JUŻ WKRÓTCE NA NASZYCH ŁAMACH



V KOLUMNA

Ilustrowany magazyn autentycznych sensacji, curiosów i tajników szpiegostwa, kryminalistyki, medycyny sądowej, operacji wojennych, kulis dyplomacji

JUŻ WKRÓTCE NA NASZYCH ŁAMACH

Nasza szkółka

SŁÓWKO NA TEMAT KIEPURYZMU

Wasz Belfer otrzymał od jednego z wiernych uczniów ze stolicy list, w którym między innymi czyta:

„Wyobraź sobie, że wczoraj zasiadłem do obiadu w ogródku z wyszynkiem, który przy ul. Foksal prowadził Stowarzyszenie Dziennikarzy. Obok mnie stołek zajmował jakiś pan w czerwonej kamizelce, otoczony różnymi panami i paniami. Od razu jakoś widać było, że to oni jego otaczają, a nie odwrotnie. Pana poznać po kamizelce.

Właściciel kamizelki zwracał powszechną uwagę. Wpierw nie wiedziałem dlaczego. Potem zobaczyłem, że się o to usilnie stara.

Pan w kamizelce rozmawiał sobie, rozmawiał aż nagle podnosił się z krzesła, zataczał ręką gest szeroki i krzyczał: jaki piękny ogródek, a ile w nim pięknych kobiet!

Wszystkie kobiety przyjmowały to do siebie i rzuciły piorunujące spojrzenia. Restaurator przyniósł białoczerwone poździki. Zaczynałem być zaintrygowany.

Portier wywołując mnie do telefonu nachylił się i szepnął: „Oglądał pan już? Kiepura!”.

Dziękuję, oglądałem. Potem przejrzałem bieżące gazety i przekonałem się, że Kiepurowa zjawia była materialna...”

Belfer przyznaje, że w większym stopniu cytowany liścik a w mniejszym gminna i prasowa wieść go przekonała o tym samym tj. o materialności zjawy. Teraz już cały naród, łącznie z Belfrem wie, że owa materialna zjawia to nie jest żaden „waż morski” sezonu jesienno-polskiej prasy, lecz cały historyczny fakt.

Po siedmiokrotnym czynieniu zawodu Mistrz dał się witać kilkudziesięciu tłumom na lotnisku. W jednym z dziesiątków prasowych wywiadów Mistrz rzekł o swoim miłym zaskoczeniu, iż witające tłumy tak dobrze były ubrane. On rozumie, że na jego powitanie wystroili się ludzie świątecznie. Ale — teoretyzuje „Chłopak z Sosnowca” — żeby się ubrać — trzeba mieć w co.

W prasie dało się jeszcze czytać o tym, że Mistrza straszono wywózką na Sybir, ale on się nie bał, bo umie drzewo rąbać. I że pierwszy zapowiedziany koncert dla tysięcy słuchaczy odwołany został z powodu niedyspozycji Wielkiego Jana. Prasa pisała też o gustach kulinarnych Mistrza, o jego wielbicielkach, prehistorii kiepurizmu i takie różności.

Kiepura śpiewał stare szlagiery na lotnisku i ulicy. Prasa też odgrzewała stare szlagiery na temat szlagiera dawno minionych sezonów, i w porządku.

W porządku? Tak. Belfer to nawet udowodni.



Bywają też u nas reprezentanci prawdziwej Muzyki. Żywy jest jeszcze w pamięci pobyt Artura Rubinstejna. Lada dzień przyjedzie Rychter.

Rubinstejna nie witały tłumy. Nie miał on czerwonej kamizelki i nie grał na ulicy. Różnica ta jest oczywista i tożsama z różnicą pomiędzy „Umarł Maciek, umarł...” a — beethovenowskim koncertem.

O ile pobytowi Rubinstejna towarzyszyły szaleństwa wąskiego tylko kręgu melomanów, to przecież prasa witała go hucznie. Równie hucznie jak Kiepurę, choć oczywiście w poważniejszej formie.

W całej tedy sprawie nie ma żadnej dziwności. „Chłopiec z Sosnowca” stosuje swoje przedwojenne, mistrzowskie w pewnej kategorii reklamy chwytły, a publiczność tak jak ongi, odpowiada na nie z pełnym aplauzem.

Pozostaje sprawa prasy. W tymże warszawskim klubie prasowym — gdzie jak Belfrowi opisuje jego uczeń — z niesmakiem reagowano na pozerskie chwytły Mistrza, gdzie śmiano się miejscami do rozpuku, gdzie tłumy poleciały na jego konferencję prasową jako na dobrą zabawę, gdzie kpinom i złośliwościom nie było końca — zasiadają ci sami ludzie, którzy z dobrą miną do złej gry podają do prasy pełne nabożeństwa wywiady: co mistrz jadł na śniadanko, co rzec raczył i ile razy kichnął. Zasiadają tam też ci sami ludzie, którzy zabijali się o bilety na Rubinstejna i mieli rzadkie miny, kiedy z urzędu słuchać musieli pewnych szlagierów i arytek.

O Rubinstejnie pisali oni wbrew desinteresment szerszej publiczności w celu szeregienia kultury muzycznej i ogólnej. O Kiepurze — by uczynić zadość życzeniom czytelnika i jego oczekiwaniom. Jakby nie było — nasz klient nasz pan.

I wszystko jest na swoim miejscu. Boć prasa powinna — tak Belfrowi się wydaje — zarówno (ad Rubinstejna) podejmować działania ukulturalniające, kształtować gusty i (ad Kiepurę) nie przemilczać zjawisk z punktu widzenia sztuki obojętnej, ale będących przedmiotem żywego zainteresowania mas

czytelniczych, zaspokajając zapotrzebowanie na wiadomości o menu, o wypowiedziach, poglądach, s'roju i upodobaniach śpiewającego bożyszczka tłumów.

Cała więc rzecz w umiarze. I w pewnej zdolności do łączenia informacji Kiepurowych oczekiwanymi i politycznymi przez ludzi, z wykorzystaniem nawet „Chłopca z Sosnowca” do pewnych zabiegów ukulturalniających.

Bo pobyt Kiepury jest niewątpliwą okazją, by delikatnie, nie raniąc niczyjego nabożeństwa zasłać ziarno sceptycyzmu co do nieziszczalności i autentyczności sztuki, prezen'owanej przez Mistrza, a także uczyć dobrego smaku na kanwie jego „zagrań” i „zgrzywów”.

Jednym słowem Belfer modlił się o trochę ironii, trochę dystansu do zjawiska, o traktowanie tego pana nie ze „zwierzęcią powagą” (klaniając się panu za to określenie, panie Leopoldzie Becku), i o trochę recenzentkich uwag, co muzyka jest, a co nie. Albowiem „jakie rzeczy są zaraźliwe. Bądź co bądź jest nieco żenujące, iż Jan Kiepura przyjmowany jest przez publiczność z takim aplauzem, jak ongi, kiedy i obycie ze zjawiskami kulturalnymi było mniejsze i sam Kiepura... lepiej śpiewał.

Kiepuryzmu na łamach prasy nie narodził przypadek. Ciągłe jeszcze cierpimy na brak umiaru i dystansu. Prasa ulega modzie dnia w sposób podający czasem w wątpliwość fakt, iż jest ona redagowana przy pomocy instrumentu, zwanego spokojem, równomiernie działającym rozsądkiem, nie podlegającym psychozom tłumów i jakimś irracjonalnie zapanowującym modom.

Zjawisko to daje się widzieć i w sferze spraw poważniejszych.

Zeszły rok (a przynajmniej sierpień, wrzesień) prasowy przebiegał pod znakiem powstania warszawskiego. W 'ym roku jest na tapecie klęska wrześniowa. Właściwie nie wiadomo dlaczego — bo nie okrąglą to rocznica. W zeszłym roku nikt o wrześniu nie pamiętał, dzisiaj zaś wszyscy. Nawet radiowy koncert życzeń w sposób liabo niesmaczny zapowiedział, iż go nie będzie w dniach rocznic co znaczących klęsk w 1939 r. Żaloba? Nagle, ni stąd ni zowąd, w dziewiętnastolecie?

Człowiek nigdy nie wie co go czeka w roku przyszłym: powstanie styczniowe? listopadowe?

WYSOKI SĄDZIE!

DALSZY
CIĄG
ze str.

1

Kiedy bandyta morduje pana X dla rabunku, to oczywiście każdy obcy X-owi człowiek rozumowo czyn ten potępia, ale odczuwa jakiś emocjonalny stosunek do sprawy tylko wtedy, kiedy jakiś mój kolega po fachu rozczuli go opisami leż w dowy i sieroty, albo też okrucieństwa samej zbrodni.

Morderstwa, o którym tu mowa, nikt dotąd — Wysoki Sądzie, nie opisywał. A jednak sama o nim wiadomość wywołała, pobudziła tak wielkie emocje, iż tłum kobiet udał się pod prokuraturę, gdzie akurat przesłuchiwało obwinionych, i starał się ich odbić dla dokonania samosądu.

Muszę tu dodać, iż uważam ten wypadek za nienormalną, patologiczną reakcję „opinii moralnej” na sprawę. Mniemam, że była to ahumanistyczna reakcja clementy, reakcja „moralności” wynikłej z zabobonów i nie związanej z osłudkami mózgowymi, odruch „dzikiego, obskurantckiego fanatyzmu”. A mówię to nie tylko dlatego, iż wszelka dążność do samosądu w warunkach normalnie działającego prawa — jest zjawiskiem społecznie ujemnym i bezsensownym, ahumanistycznym, ale dlatego, że było coś zwierzęcego w tego typu reakcji na naszą własną sprawę. To uzasadniałem.

Tyle — Wysoki Sądzie — aplikuje Ci rozważań wstępnych. Z konieczności przysiąść muszę do opowieści o ludziach i czynach. Zrobię to językiem akt sądowych zgodnie z ich po sobie kolejnym następowaniem.

WYSOKI SĄDZIE!
W miasteczku Skierniewice, przy ul. Ogrodowej mieszka małżeństwo Maszynkiewiczów. On — imieniem Jerzy, pracuje na kolegi pomocnik monter, Ona — Jadwiga, w przyszłości dentystycznej jako pielęgniarka.

Pobrali się z końcem 1955 roku i od tego czasu urodziło im się już troje dzieci. Początkowo mieszkali na wsi u rodziców, dojeżdżając do pracy. Potem dostali mieszkanie, to znaczy pokój o powierzchni 15 m², ciemny, bez kuchni i wygod, w starej wylającej się ruderze. Łącznie zarabiała około półtora tysiąca złotych.

Cóż jeszcze, Wysoki Sądzie, wiemy o tych ludziach? On ma lat 28. Ona 22. Jerzy M. pracuje, potem wraca do domu lub idzie gdzieś z kolegami, jeśli stosunki w małżeństwie są aktualnie dobre. A na pewno nie wraca przed wieczorem i „idzie gdzieś z kolegami”, jeśli są one aktualnie złe. Jadwiga M. po pracy wraca oczywiście do domu i resztę życia spędza na domowych zajęciach.

Sąsiadki powiadają, że zaharowuje się, odejmuje sobie od ust, żeby dogodzić mężowi, jest wiecznie zapracowana i zablędzona. Jej teściowa ma nieco inne zdanie. Nie przyznaje synowej walorów gospodarskich i małżeńskich.

Wiemy dalej — Wysoki Sądzie — iż obojga Maszynkiewiczów znamy, sąsiedzi, towarzysze (towarzyski) pracy określają jako ludzi skrytych, nie opowiadających o swoich sprawach. Wiemy, że wszystkie kolejne ciąży Maszynkiewiczowa ukrywa. Dowiadujemy się też, iż czasem, w pewnych okresach, sąsiedzi słyszeli często awantury w ich mieszkaniu, że raz czy dwa Jadwiga M. wyglądała na pobitą. Wiemy też, że Jerzy M. wygłaszał zastrzeżenia co do swego ojcostwa w stosunku do pierwszego i trzeciego dziecka. I że sprawa ta waży między nimi po dziś dzień. Zresztą o innych jeszcze cechach Jadwigi Maszynkiewicz — w szczególności o elementach jej poglądów na różne sprawy, przyjdzie nam pomówić z okazji złożenia jej wizyty w więzieniu.

Mamy więc, Wysoki Sądzie, przed sobą dosyć przeciętne małżeństwo młodych, niewykształconych ludzi (choć, uwaga — Jadwiga skończyła 9 klas) żyjące w przeciętnych warunkach material-

nych i mieszkaniowych — przynajmniej jak na małomiasteczkowe stosunki.

Normalnie, dramaty rozgrywane się wśród tego typu ludzi nie stanowią przedmiotu powszechnego zainteresowania. Wyjąwszy te przypadki, kiedy w sposób budzący zainteresowanie wkracza w nie prawo. Tak było i tu.

W dniu 20 lipca br. o godzinie 21.40 sierżant Komendy Powiatowej MO w Skierniewicach udał się do miejscowości Zazdrość. Podróż ta nastąpiła w związku z tym, że niejaki Stanisław Woźniak łowił ryby w stawie należącym do Stanisława Piotrowskiego. Łowiąc owe ryby spostrzegł, iż na wodzie unosi się coś, co nie jest rybą ani kaczką, ani niczym takim, czego obecność na tafli stawu zwyczajna jest i usprawiedliwiona. Białą przedmiot zauważył również wiele innych osób. Woźniak zarzucił więc wędkę, zacerpił haczykiem o ów przedmiot i wyciągnął go na brzeg. Zbiegli się ludzie. Pakunek owinięty był w białą powłoczkę, następnie w trykotową męską koszulkę i zawierał zwłoki noworodka.

Kobiety narobiły krzyku. Ktoś zawezwał milicję. Jeden z mieszkańców dnia widział nieznaną parę: mężczyznę i kobietę jadących od stawu na rowerach. Kobieta była niska szczupłą blondynką, nosiła białą ondulację i sukienkę w kwiaty.

Milicja rozpoczęła żmudne czynności, zmierzające do ustalenia, kto w powiecie, odpowiadający temu rysopisowi, spodziewał się ostatnio dziecka, kto w ostatnim okresie rodził, następnie czy urodzone niedawno dzieci są w domu a jak nie, to gdzie itp.

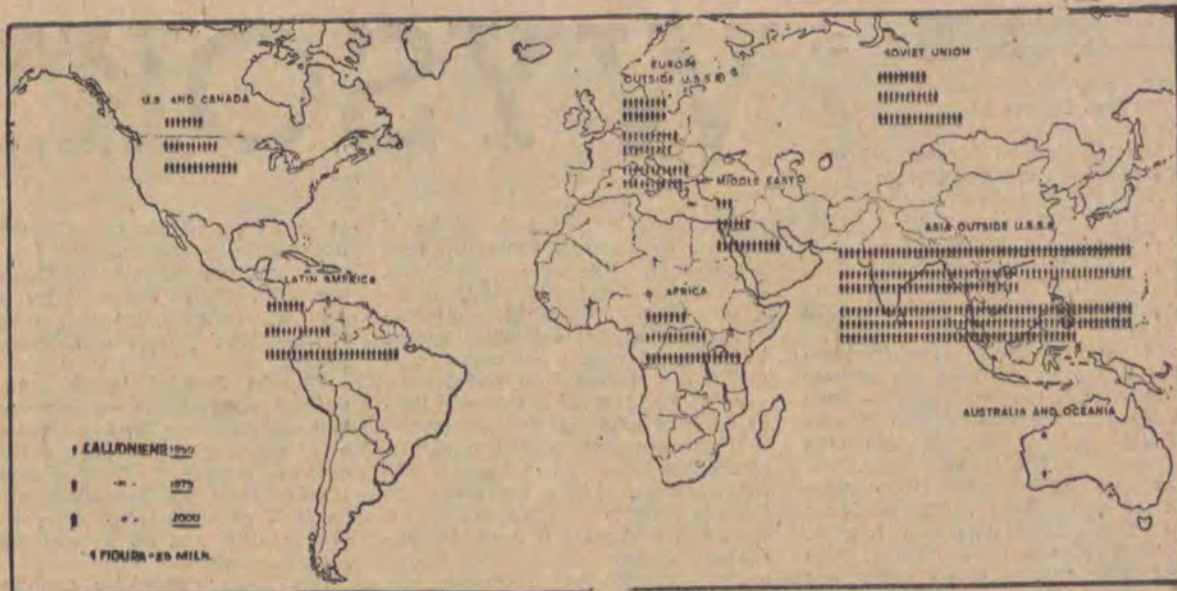
Ustalono, że dwie kobiety odpowiedzialne wspomnianemu rysopisowi spodziewały się ostatnio dziecka. Jedną z nich była Maszynkiewiczowa. Dalej ustalono, że wiadoma wszystkim jej bliskim i sąsiadom wersja, iż dziecko znajduje się w szpitalu w Warszawie, nie odpowiada prawdzie.

30 lipca milicja nie znajduje Maszynkiewiczów w domu. Wieczorem zastaje Jerzego M. w mieszkaniu jego matki. Maszynkiewicz zostaje aresztowany. Jego żona bawi w tym czasie w Warszawie, gdzie rzekomo odwiedza dziecko w szpitalu. Gdy wraca, dowiaduje się, że mąż nie przyszedł do pracy. Ciotka męża informuje ją, że został aresztowany. Jadwiga Maszynkiewicz idzie do domu. Na ulicy zatrzymuje ją milicja. Zaczynają się przesłuchania. Małżonkowie Maszynkiewicz z miejsca przyznają się do winy.

Wysoki Sądzie! I ja przyznaję się do winy, iż mówię o rzeczach marginalnych, o powierzchni zjawisk, o dzianiu się wypadków, niejako o liturgii tej zbrodni. Ale Wy, Sędziowie, wiecie, że nie wystarczy zbrodnię ustalić i zrozumieć. Trzeba też ją sobie wyobrazić. W naszym wypadku wyobrazić sobie wszystko jest łatwo. Nad wyraz łatwo. Trudniej jest zrozumieć.

A więc wiemy, Wysoki Sądzie, z zeznań oskarżonych, tych pierwszych zeznań (gdzy później brzmiały już inaczej), że 15 lipca w godzinach popołudniowych Jadwiga Maszynkiewicz wyszła z domu z dzieckiem zawiniętym w kocyk na rękę. Za nią poszedł mąż prowadząc rower. Rowerem tym pojechali do miejscowości Zazdrość. Tam zatrzymali się nad stawem. Jadwiga M. odwinęła dziecko. Pocałowała je. Wrezyła mężowi. Jerzy Maszynkiewicz z rozmachem wrzucił je do wody. Chwile stali nad stawem. Potem odeszli. Maszynkiewiczowa opowiedziała wszystkim, kto chciał czy nie chciał słuchać, że dziecko zachorowało, więc zawiozła je do szpitala.

19 lipca Jadwiga M. pojechała z mężem nad staw zobaczyć, czy zwłoki czasem nie wypłynęły. Po stawie coś pływało. Minęło dzie-



Ocenia się, że między rokiem 1950 a 2000 ludność Azji wzrośnie z 1,3 miliarda do 3,6 miliarda; Afryki z 177,6 milionów do 443,3 milionów; Środkowego Wschodu z 82,3 mil. do 279,7 milionów; Europy z 393 milionów do 569 milionów; USA i Kanady z 168 milionów do 312 milionów; ZSRR z 202 milionów do 379 milionów; Oceanii z 13 milionów do 29,3 milionów. Tak więc ocenia się, że ludność świata wzrośnie z 2,5 miliarda w r. 1950 do 6,2 miliarda w r. 2000.



Tak wygląda tabletka anty...

TABLETKA ANTY...

Redakcja spodziewa się, że w poruszanej sprawie zabiorą głos lekarze, których interesuje praktyczne rozwiązanie problemu regulacji przyrostu naturalnego.

Pesymistyczna teoria Tommasza Malthusa, która ogłosił w 1798 roku, stwierdzając, że naturalny przyrost ludności wzrasta w postępie geometrycznym, przyrost zaś środków konsumpcyjnych w postępie arytmetycznym, nie wpłynęła w najmniejszym stopniu hamująco na zaludnienie kuli ziemskiej, a nawet nie znalazła praktycznego poparcia u samego twórcy doktryny. Ekonomista angielski, chociaż ożenił się dopiero w 39 roku życia, miał czworo dzieci.

Dopiero w końcu XIX wieku Europa zachodnia zaczyna się interesować poważnie środkami antykoncepcyjnymi, nie wypływa to jednak z przesłanek ekonomicznych, lecz raczej z wygody życiowej, higieny, troski o zdrowotność dzieci. Skostniałe przepisy religijne stoją mocno na straży starych przesądów.

Współczynnik przyrostu rzeczywistego ludności w świecie znacznie się podniósł, począwszy od II połowy XIX wieku, głównie dzięki postępowi wiedzy lekarskiej. Argumentem najbardziej przekonującym są cyfry: w okresie od 1850 do 1890 roku współczynnik ten wyniósł 4 proc., podczas gdy w latach od 1850 do 1950 osiągnął 8 proc. W tej chwili roczny przyrost wynosi 1,7 proc., co oznacza, że dziennie przybywa na kuli ziemskiej 123 tys. nowych obywateli, a rocznie 45 milionów. Biorąc za podstawę obliczeń rok 1950, kiedy ludność świata liczyła 2 i pół miliarda i przyjmując aktualny współczynnik przyrostu rzeczywistego, w roku 2000 glob ziemski będzie zamieszkiwać 6 miliardów 200 milionów ludzi! Według naukowych badań w tej chwili przeszło połowa ludności globu jest niedożywiona. Nasuwa się niepokojące pytanie: co będzie dalej? Rzecz prosta, nie należy snuć katastroficznych prorocztw, jednakże wiele względów natury ekonomicznej, społecznej, moralnej przemawia za polityką regulowania przyrostu ludności.

Jakimi środkami to osiągnąć? Powszechnie stosowane w tej chwili środki antykoncepcyjne — chemiczne i mechaniczne, nie zawsze są skuteczne i dostępne. Według zapowiedzi prasy amerykańskiej, na rynku ma ukazać się nowa „cudowna” tabletka, której autorami są dwaj uczeni amerykańscy, profesorowie uniwersytetu — biolog Gregory Pincus i ginekolog John Rock. „Króllkami doświadczalnymi dla uczonych są kobiety portorykańskie w zakładzie doświadczalnym w pobliżu San Juan”. Doświadczanie o cyklu pię-

cioletnim trwa już przeszło dwa lata i wykazało na 200 kobietach, że przyjmowanie 20 tabletek miesięcznie do wewnątrz powstrzymuje całkowicie ciążę, nie oddziałując ujemnie na zdrowie psychiczne i fizyczne poddawanych doświadczeniu organizmów.

Tabletki te — to syntetycznie wytwarzana progesteryna, zatrzymująca proces owulacji u kobiet niecierząnych. W obecnym stadium doświadczenia trudno jeszcze rozstrzygnąć zdecydowanie, czy tabletki nie powodują ubocznych działań, jakie są skutki długookresowe dla organizmu, czy nie zakłócają równowagi organizmu lub też czy zatrzymanie owulacji w długim okresie czasu nie spowoduje całkowitej sterylizacji kobiety? Absolutne uznanie środka, zdaniem badaczy, wymaga przeprowadzenia długiego ciągu doświadczeń. Obecnie tabletki te produkowane są przez trzy wielkie koncerny farmaceutyczne i stosuje się je jedynie na podstawie recepty lekarza dla leczenia zakłóceń w menstruacji i, co ciekawsze, jako środek dla podniesienia zdolności zapładniania.

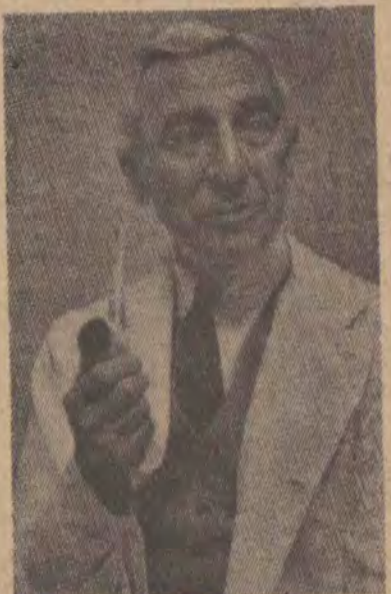
Powszechnie zastosowanie tabletek jako środka antykoncepcyjnego utrudniłoby w tej chwili wysoki koszt produkcji. Cena detaliczna bowiem wynosi 55 centów, tj. miesięczny zabieg kosztuje 11 dolarów. Jedyna — na razie, jak pociesza ją uczeni — niedogodność: tabletki należy zażywać systematycznie, codziennie, w ciągu dwudziestu dni między okresami menstruacji.

W Stanach Zjednoczonych panuje przekonanie, że uczeni udoskonalili działanie środka. Jednakże odpowiedź na pytanie — kiedy „cudowne tabletki” stana się powszechnie używanym środkiem antykoncepcyjnym — jest kwestią co najmniej dziesięciu lat. Przede wszystkim należy stwierdzić, czy tabletki nie oddziałują szkodliwie na zdrowie. Jeżeli się okaże, że tabletki istotnie zasługują na miano „cudownego środka antykoncepcyjnego”, wówczas nie będzie stało na przeszkodzie w ich rozpowszechnianiu. Wg tygodnika amerykańskiego „Life” nawet rzeczniczy archidiecezji nowojorskiej oświadczył, że ich zdaniem kościół katolicki „nie będzie uważał stosowania tabletek za grzech”, jeśli dotychczas były używane dla regulowania okresu menstrualnego. O rzeczenie autorytetu kościoła nie jest w tym wypadku najważniejsze, świadczy jednak o próbach „uratowania twarzy” przez czynniki najbardziej zachowawcze. Zobaczymy, jak się to wszystko ułoży.

Na podstawie artykułu Roberta Sheehana „A pill to cure overpopulation?”, zamieszczonym w lipcowym numerze „Life’u”, opracował **JAN JANISZEWSKI**



Biolog, dr Pincus przy pracy w swoim laboratorium w Massachusetts. Zagadnieniem regulacji przyrostu naturalnego zainteresował się w czasie studiów nad płodnością zwierząt.



Dr. Rock, bostoński ginekolog, rozpoczął prace badawcze nad zwalczaniem bezpłodności u kobiet. Ostatnio współpracuje z dr Pincusem.

DOKOŃCZENIE
NA STR.

4

odqtosy

str. 3

OBRAZY NA CODZIEŃ

(Wystawa Marii i Wacława Kondków)



Coroczny sezon plastyczny to bardzo dziwna rzecz. Niekiedy da znać o sobie jakimś głośnym ekcessem, a czasem, ot mimochodem, przemknie sobie niepostrzeżenie, jak gdyby go w ogóle nie było. Dzięki temu — w ubiegłym roku na przykład — mało kto spostrzegł, że popularny w swoim czasie salon Centralnego Biura Wystaw Artystycznych zaprzestał swej działalności, oddając się sprzedaży galanterii. Zresztą estetycznej, a więc nie bardzo jest o co kruszyć kopie.

Teraz mamy nową jesień, a zatem, starym zwyczajem można mówić o początku sezonu. Nie ma co, ładnie się ów sezon zaczął! Ładnie, bo od fajerwerku. Żeby jednak nie było nieporozumień — zaraz wyjaśnię. Uważam fajerwerki za imprezę wyjątkowo potrzebną. Dla uniknięcia nudy plastycznego życia i także samo dla umożliwienia smutnawego bytu. Aha, żebym nie zapomniał! fajerwerki trzeba cenić i dla innych przyczyn. Zwykły przecież zapowiadać coś ciekawego. Podobnie jak wystawa malarstwa Marii i Wacława Kondków zwiastuje szereg interesujących rzeczy.

Cóż zapowiada wystawa? Przede wszystkim nawiązanie nici porozumienia między twórcą a odbiorcą, nici zagubionej ostatnimi czasy nie tylko na terenie plastycznym i — zdawać by się mogło — niełatwej do odzyskania. Jest więc o czym mówić, chociaż nie sądzę, żeby odnalezienie tego porozumienia niczym Ariadnie pozwoliło obu stronom wypłatać się z labiryntu. W każdym razie trzeba zapisać, że sprawa jak na nasze warunki — wygląda nieco egzotycznie. Oto odbiorca (zamiast uragać) chodzi spokojnie po sali i wskazuje palcem obrazy, które zamierza powiesić u siebie w domu. A że obrazy namalowane są kulturalnie, przeto staćemy wobec ze wszelkim miar interesującego zjawiska. Bo dotąd widywaliśmy zbiorowe wyklinalne obrazów malowanych wbrew tradycjom kiczu. Czyżby więc już wszystko było w najzupelniejszym porządku?

Pozory mylą. Masowy odbiorca nie przeszedł przeobrażenia i ciesząc się malarstwem Kondków — nazajutrz dalej będzie uragał na abstrakcje. Może tylko cokolwiek ciszej, z mniejszym przekonaniem. Tak czy inaczej będzie to zasługa czterystu eksponatów powieszonych i postawionych w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku Sten-kiewiczza. Przed dwoma laty były to nieduże tempory, o powierzchni mniejszej niż passe-partout, które je otaczało. Teraz te same tematy, a więc groteskowe, figlarne motywy bajek i anegdot urosły z naglą do tematu dużych płócien. Zdradzę od razu, że mimo wszystko, wole dla tych rzeczy mniejszy format dawnych prac Wacława Kondka. Dzisiejszym obrazom artysty mniej do twarzy jest z rozmachem zamierzenia, z



jego malarską oprawą. Nie jest to zarzut, bo zarazem obawiam się, że te obrazy mogą być niedocenione. Nie myślę tu o obrazach jako samodzielnym zjawiskach z zakresu pięknej sztuki malowania. Myślę o obrazach jako tranzystorach pomocnych w przekraczaniu trudnych granic oczom nienawykłym do oglądania współczesnych płócien. Obrazy Kondków tę właśnie rolę spełniają. Stanowią bowiem coś na kształt i podobieństwo pomostu, po którym pewną nogą przechodzi od sztuki tradycyjnej do niewinnej deformacji zarówno wczorajszy apologeta „Jelenia na rykowisku”, jak również autorzy stu obelg, wpisywanych do książki pamiątkowej przy lada jakiej okazji. Oto zasługa Kondka, o której chyba nie dumał, malując swoje wymyslnie gnomy.

Sprawozdawca powstrzymuje się od szufladkowania zjawisk zauważonych w Ośrodku Propagandy Sztuki. Szufladkowanie bowiem bywa zdradliwe i śmieszne po jakimś czasie. Ekspozyty zajęły wszystkie ściany galerii, choć wieszano je dwoma rzędami, chowano pod szkłem i stawiano na wysokich postumentach. Stąd pierwsze wrażenie: ile ci ludzie zdolali namalować przez te dwa lata, które dzielą nas od poprzedniej wystawy! A przecież nie kończyło się tylko na malowaniu. Na wystawie jest także ceramika i figurki z gliny, pomysłowo zdoblo-

ne szkłem. Poza tym dodać by wypadło okres, który autorzy musieli stracić na opracowanie tego wszystkiego i przygotowanie do wystawy. Ten rozmiar pracowitości to rzecz bodaj niespotykana, szczególnie w środowisku plastyków, które podtrzymując tradycje, więcej czasu trawi przy stygnącej kawie niż przytkuje go w zaciszu pracowni. A Kondkowie nawet pracowni nie mają, tylko niewygodne mieszkanie. Jak tam powstawały kompozycje przekraczające trzy metry?

Tym razem (a po raz pierwszy!) wejście na wystawę kosztuje. Zdrowo kosztuje! Bilet — jak bulka z masłem, Bilet i katalog — jak wstęp do kina, i, co najdziwniejsze, wbrew temu, co można było oczekiwać — wystawa nie świeci pustkami. Każde to wnosić, że oprócz uchwytnych, namalowanych niejako uroków tych malowanych, infantylnych cudactw, mają one jeszcze tajemnicę. Ultrafily bowiem — właśnie swoją kompromisowością — w płaszczyźnie zainteresowania przeciętnego człowieka, zainteresowanego malarstwem od strony jego dekoracyjności i dowcipu literackiej anegdoty. I to jest chyba wszystko...

Młynek do kawy

Okladka tej książki nie może chyba wzbudzić zaufania. Przeciwnie, odpycha i przestrasza przed wejściem do księgarni. Te niedbale wędrowki pedzła, te plamy szeroko rozlane, ta przestrzeń, zamazana byle jak, te kolory gwałtowne i skłonne! Czyżby wnętrze miało być podobnie nie uporządkowane, niechlujne? Nie, bardzo nie lubię takich wnętrz. Więc wahałem się długo. A potem jednak kupilem „Młynek do kawy”. I okazało się, że Konstanty Ildefons Gałczyński, poeta, i Stanisław Zamecznik, plastyk, przygotowały wnętrze naprawdę pełne uroku. Tak, to śliczna książeczka, ten „Młynek do kawy”.

Dla dzieci? Owszem, dla dzieci. Ale dla dorosłych również. Ktoż z nas bowiem nie gustuje w urokach sztuki, zakazanej dla tych, którzy ukończyli szkołę podstawową? Ktoż nie zechce raz jeszcze wejść w świat ożywionych przedmiotów i szalenie rozmownych słoń, psów, niedźwiedzi? Ja wiem, ta literatura, zwrócona ku wyobraźni intrygantów i wyobraźni intrygantów imitująca, może na dorosłych działać jak narkotyk. Ale małe dawki narkotyków mogą koić i uzdrawiać. I tak też działać może na nas sztuka, przeznaczona dla dzieci. Właśnie uzdrawiająco.

Oto ten świat, świat „Młynka do kawy”. Świat najczystszej, absolutnie bezinteresownej

nej poezji. Tam uciekamy. Ze świata literatury umoralniającej, wychowującej, walczącej. To prawda, często — nawet bardzo często — nad bramami do krainy dziecięcych wzruszeń widnieją, wypisane złotymi literami, moral. Ale ten dostępny jest zapewne tylko wzrokowi dzieci. Dorosli są przezorni i przekraczając bramę, na chwilę zamykają oczy. Wiedział o tym bardzo dorosły i bardzo dziecienny poeta, Gałczyński. I pisząc w roku 1931 „Młynek do kawy”, dzieciom ofiarował piękny moral, a dorosłym... tak, z przemienienia dorosłych zjadaczy chleba w aniołów raczej zrezygnował. Wiedział, że ci zjadacze chleba bardzo moralów nie lubią. Włocząc się do punktu, w odpowiedniej chwili dał znak — i zarządził wielką kpinę z moralów, wielki pochód młynków do kawy. W ten sposób zadowolili wszystkich, i dzieciom, i dorosłym opowiedział o niezwykłych przygodach młynka, o szybie — detektywie, o panu Zabociu, który na monetę był tak lakomy, jak na chałwę, i o ołowianych żołnierzykach. I dzieciom i dorosłym ofiarował śliczną książkę, w której o nie nie chodzi. Naprawdę. Absolutnie o nie. „Młynek do kawy” został, jak myślę, napisany po to, by świat stał się odrobinę weselszy. Tylko po to. Więc być może znajdzie się ktoś, kto tę książeczkę zechce zlekceważyć, potępić, wpechnąć na którąś z półek w dzieciennym pokoju. Przypatrzcie mu się uważnie. To jest człowiek, który nie chce, by świat był weselszy. To moralista. A więc może to jego warto byłoby zamknąć w pokoju dziecięcych zabaw? I tam poddać kuracji? W tym czasie wy moglibyście przeczytać „Młynka”. Do tej książki trzeba przeczytać, to jest bardzo ważna książka.

Książka przeciw moralistom. Jakże potrzebna w kraju, w którym zewsząd patrzą na nas smutne oczy artysty — odku-

piciele. Artysty — zwolennicy nieprzeciwstawiania się złu. Albo artyści — zwolennicy przeciwstawiania się złu. Oczy oskarżyciela. Oczy rodziciela. Te oczy są wszędzie. Spoglądają na nas z takszysowskich obrazów. Ze scen eksperymentalnych teatryków. Z kart książek. Od tych oczu nie ma ucieczki. Bo tu wszyscy artyści chcą być moralistami. I wszyscy nimi są, niestety. Nawet ci, którzy wykiwają moralistów, mają w tym jakiś cel. Rzecz jasna, moralny. I nawet esteci, twórcy sztuki czystej, protestują — samym aktem twórczym — przeciw rządzą moralistów w sztuce. Oczywiście, protestują w imię obrony sztuki, w imię godności aktu, w imię powołania artysty. Więc mają cel. Moralny.

Ja wiem, że powyżej udało mi się zapisać kilka pięknych banałów. — Proszę mi to wybaczyć. Naprawdę, nie chciałem bronić „Młynka do kawy” przed moralistami. Obrona byłaby przecież bezcelowa, Gałczyński sam bronił się najlepiej. I czas nie skruszył jeszcze cegły jego zamków, ustawionych w krainie baśni i w dominium kpiny. Uważam natomiast, że niektóre banały warto dziś przypomnieć. Komu? Właśnie moralistom. Szczególnie dziś, gdy społeczeństwo wydaje się odwracać tyłem do sztuki. Przy czym nie obywa się bez gestów znużenia i lekceważenia. Temu nie należy się dziwić. Tym grupom społecznym, które w ogóle objawiają jeszcze jakiegokolwiek zainteresowanie dla sztuki — a są to, przyznajmy uczciwie, grupy bardzo nieliczne — mogła się już zaudzić działalność artystów — odkupielem. Patetyczne gesty i tasłemowo lamenty przestały cieszyć się popularnością. I nie trzeba by chyba przeprowadzać dokładnych badań socjologicznych, by stwierdzić, że „Młynek do kawy” cieszy się dziś będzie

u nas większą popularnością, niż bilety na spektakle różnych narodowych tragedii w stylu angielskim lub hiszpańskim. Barwy dnia jutrzejszego mogą poważnie rozczarować naszych moralistów. Wypada więc ich ostrzec. Tym bardziej, że dzień jutrzejszy w ogóle nie będzie chyba sztukom pięknym przychylny. Wielotomowa powieść zastępuje już magazyn ilustrowany, telewizja powoli wypierać będzie teatr, a na malarstwo już dziś nikt nawet spojrzeć nie chce. A przecież ci, którzy jeszcze nie odwrócili się plecami do artystów, żądają od sztuki naprawdę niewiele. Żądają odrobiny wiedzy o sobie i o świecie. I odrobiny rozrywki. I oto problem. Gdzie tę rozrywkę znaleźć? W odcinkowej powieści kryminalnej? Czy w „Młynku do kawy”?

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

WARSZAWSKIE EDUKACJE

Pojechałem z Marianem Piechałem na studia polonistyczne do Warszawy. Był rok 1928.

Na dworcu wpadłem w objęcia pucybuba.

— Pan hrabia pozwoli nóżkę. Ładny pan, ładny bucik...

Wymieniłem z Marianem porozumiewawcze spojrzenie. Wydał się, że z prowincji? Za nic w świecie. Oznajmiłem z godnością:

— Proszę, niech pan czyści.

piękno i czar zabytków żywo przemówiły do mojej wyobraźni.

Tamto niemiłe spotkanie z „Warszawką” zatarało się w pamięci. Współuczestniczyło w moich warszawskich wrażeniach jako pewien rys obyczajowy poznane środowiska. Polubiłem nawet ten wesół, skory do kantów, ale i pomocy, gdy trzeba, warszawski ludek: owych pucybubów, gazeciarzy, sprzedawców z Kercelaka, plaskarzy, podwórzowych muzykantów i wszelkiego automatu obiboków.

wych, długich włosach, podobny był do posągów antycznych, z tą tylko różnicą, że chodził. No, a Władysław Witwicki, psycholog? Okraszał swoje wykłady tak pikantnym dowcipem, aż się koleżanki rumieniły.

Przy uniwersytecie prosperowało Koło Polonistów. Za naszego pobytu Koło przeżywało swój rozkwit. Później już przyszły haniebne czasy pałek i źyletek, tymczasem dominowały zainteresowania i spory czysto naukowe. Rej wodzili Franciszek Siedlecki (badania weryfikacyjne), Władysław Smoleński, Dawid Hopensztadt, Lucjan Szeniawald, Stefan Żółkiewski, ale „rząd dusz” objął Władek Brońkowski. Zapalał każdą dyskusję i gasił każdego przeciwnika. Tak się wyćwiczył, że niebawem kładł w zawilżył sporach dostojnych profesorów, trochę ku naszej konsternacji.

Ale wyznam, że rozważanie tyłu enót naukowych zmęczyło mnie. Czas odpocząć przy „pół czarnej”. Gdzie? Oczywiście, w „Małej Ziemiańskiej”. Na kawę zawsze się narzeka: mała czarna — duży wtyd. To też nie gątkuń kawy wabił do „Małej Ziemiańskiej”, ale rezydujący tu Olimp Sztuki. Stolik tylko dla „skamandrytów” tonął w chmurach dymu. Tu zawsze śladowali Tuwim. Boy-Zeleński, Lechoń, Wierzyński, Słonimski i popularny generał Wieniawa, który machał nie tylko szablą na defiladach, ale i nieźle ołorem (łumaczył Baudelaire'a).

Po pochmurnej Łodzi warszawiaczy wydali mi się barwni, ciekawi, pełni kawalerskiej fantazji.

Na początku pomógł nam Tuwim. Wystarał się o przekłady z Lwa Tolstoja. Wychodziły one w wydawnictwie Gutenberga, a Tuwim edycję tę w r. 1928 redagował. Piechal przetrłumaczył „Zmartwychwstanie” i inne powieści, ja — „Dzieciństwo, lata chłopięce i młodość” oraz szereg opowiadań. Przypadek więc zrzucił, że debiutowaliśmy z Piechałem wpraw jako tłumacze. Zresztą, to chyba nieźle.

Praca nad językiem poetom zawsze się przyda — mawiał prof. Witold Doroszewski i zawzięcie ścinał nas przy egzaminach z gramatyki historycznej.

W mury uniwersytetu wkroczyłem z całym piętyzmem. Należeliśmy do pokolenia, które cenilo ciążość kulturalną i mimo światoburczych zamiarów żywiło szacunek dla osiągnięć przeszłości. Na uniwersytecie zastaliśmy wybitne grono profesorów. Jeszcze wykładał Kryński, ale Szober już wtedy zażywał ogołnopolskiej sławy. Józef Ujejski snuł głębokie rozważania na temat polskiej poezji mesjanistycznej, Zofia Szymdłowa ujęła przybyszów miłością do Norwida. Słynny Władysław Tatarski-czwarował (szczególnie koleżanki) formą swych wykładów na temat filozofii. Hellenista o europejskiej sławie, Tadeusz Zieliński, żywił nas z nieśmiertelnego prazródła kultury. W czarnej pelerynie, zawiąże z odsłoniętą głową, o si-

JERZY WILMAŃSKI

Dziewczyna z „Honoratki”

Dziewczyna znał stolika jak szara popielniczka to była jakaś podróż atal archipelag — czy ja wiem jakaś jesień paryska jakaś jesień niezwykła jakaś Wolga przoległa jakiś Dunaj czy Ren

Dziewczyna znał stolika okrągłego jak księżyc to było coś co się zdarzy za te głupie lat sto słońce w wąskiej uliczce w które trudno uwierzyć i równina po której by się szło wciąć i szło

Z pustych paczek Camel nie wychodzą wielbłądy w ich dwugardbne istnienie nikt już z nas nie uwierzy w muzealnych galeriach nie ma żadnej Głocandy jest tylko mały stolik okrągły jak księżyc.



WLADYSŁAW STRZELECKI

Uśmiech

Hej, za górą, za górą,
A ja nie wiem za która.
Kazałaś mi przychodzić,
A ja nie wiem co zrobić.

Hej, za górą, za górą,
Wypatrzyłem za która,
Dźwięczy klekot bocian,
Skacze słońce po chmurach.

Snop złoconych piłastrów.
W skrajach ogród pełen astrów.
Dom czerwony w ogrodzie.
W domu miłość i światło.

Słów najprostszych, zdań kilka.
Szczera ludzka opowieść.
Ze spracowanych wysiłków
Słońca pszenney razowiec.

Brzęczą pszczoły w ogrodzie,
Wróżą dni najlaskawsze.
Kazałaś mi przychodzić —
Jestem z tobą na zawsze.

Orka

Idę w pole za miasto.
Chłopcy przy ogniach neą,
Powietrze chlebem pachnie.
Dodaje zdrowia ptucom.

Chcę zrzucić kłopot z mózgu.
Nie odstępnie troska.
Wieś — miasto, błon — ulica.
Jednaka przeszłość. Gorzka.

Plug kroi twardą ziemię.
Kamieni pełno wokół.
Gwiazdy ogniste biją.
Biją z łemiesza, z podków.

Synek, idący ze mną,
Naprzód wybiega sporo.
— Tatuś, gdy będę duży,
To także będę oral.

str. 6 **odpisy**

aspazja

ILUSTR. J. BIS-GRATKOWSKI

— 76 —



Latona odpoczywała chwilę. Napiała się wina. Gdy milczała, dolna jej szczęka ciągle się poruszała, jakby meła jakieś słowa. Uśmiechnęła się łagodnie.

— Jak się orientujecie, koledzy — zaczęła po chwili — ze stworzeniem materii żywej, jakichś marsyjskich homunculusów, sprawa wcale nie jest prosta ani łatwa. Niewiele im w tym wypadku pomagają ich genialne równania. Biologia to nie matematyka i nie mechanika. Nie mogą odkryć tajemnicy życia, chociaż pewne, powierzchowne osiągnięcia mają i na tym polu.

Bardzo ich interesuje nasza cywilizacja i rozwój naszej techniki, przede wszystkim interesuje ich nasza „organiczność”. Z niecierpliwością oczekują na przybycie każdej nowej ekspedycji. Mają potem, że tak powiem pełne „łapy” pracy na całe lata.

Z każdego naszego nowego „transportu ludzkiego” — zaśmiała się ironicznie — pozostawiają przy życiu najwybitniejszych pechowych, tych, od których mogą się nauczyć czegoś nowego, którzy mogą być ich pomocnikami lub w niektórych dziedzinach — instruktorami.

Starają się nasze wynalazki przyswoić i zastosować — nie wszystko jednak umieją przewidzieć. Ich myśl mechaniczna idzie inną drogą niż myśl organiczna. Nasza wiedza o elektryczności, o materii, energia subjądrowa i kosmiczna nie przedstawiają dla nich nic zagadkowego, natomiast z tą waszą osłoną elektryczną wbiście im potężnego klina. Ani oni, ani my — uczeni ludzie na Marsie — nie możemy tej sprawy rozgryźć. Zdawało się, że ich artyleria elektryczna nie może być pokonana. Zbudowali ją specjalnie celem odparcia ewentualnego najazdu ludzi — no i ponieśli klęskę.

— Czy te dziwne istoty mogą nam zagrozić na Ziemi? Czy nie zechcą nas tak odwiedzić, jak my je odwiedzamy? Czy nie przyjdzie im do głowy myśl podboju? — zapytałam.

— Nie — odrzekła profesor Latona. — O ile je znam, to takie przypuszczenia należy odrzucić. Gdy weźmiemy pod uwagę obecny poziom ich wiedzy technicznej, jestem przekonana, że mogłyby podbić cały nasz system planetarny, a więc ludzkość, bez większych trudności. Sądzę, dalej, że mogłyby podbić cały Kosmos, o ile tam gdzieś nie ma takich samych znakomych automatów. Ich przewaga nad wszystkim, co jest organiczne jest olbrzymia — nie potrzebują jeść, spać, oddychać; prawie że nie zależą od temperatury (wytrzymują doskonale bardzo wysokie i bardzo niskie temperatury), nie chorują, nie starzeją się, nie umierają, nie muszą odpoczywać; praktycznie są niezniszczalne, nie mają żadnych wymagań, są bezgranicznie posłuszne, cierpliwe, silne, wytrzymałe, spokojne. Czegoż jeszcze można chcieć? Myśl o podboju nie przyjdzie im nawet do głowy, a wszelkie odwiedźny są zbędne, gdyż świetnie znają Ziemię i jej sprawy. Takie pomysły z ich punktu widzenia byłyby nielogiczne, a one są bardzo logiczne. Zdają sobie sprawę z tego, że są maszynami i boją się nad tym, ale rozumieją, że podbić światów na to, aby na nich osadzić maszyny jest nonsensem. Na co by się to im lub komukolwiek zdało? Co by z tego miało wynikać? Przecież trzeba pamiętać o tym, że one robotów produkują serwicznie, systemem zbliżonym do taśmowego. Oczywiście, same roboty ani takich chęci, ani takich ambicji nie mogą mieć, a elita nie przejawia ich również. Wnętrze Marsa — jako ich dom, ich fabryka, ich laboratorium w zupełności im wystarcza.

— Czy ich jest dużo? — zapytałam.

Latona niecierpliwie wzruszyła chudymi ramionami.

— Dziecinne pytanie — odrzekła zgrzyliwie. — Może milion, może miliard, może sto miliardów. Co to ma do rzeczy? Przecież one nie umierają. Wystarczy od czasu do czasu wyprodukować trochę nowych i remontować trochę starych, przy czym te nowsze będą w tym lub innym szczególe doskonalsze od starych. Jeśli się ma odpowiednie zyczenie lub zachodzi jakaś konieczność, można ich wyprodukować tyle, ile tylko dusza zapragnie i przechowywać w magazynach i składach.

— Gdzie się to wszystko mieści? — rzuciłem następne pytanie.

— Ach — machnęła ręką — miejsca jest dość. Mars

— 77 —



jest „zaludniony” prawie do samego wnętrza. Przedstawia się on po trochu jak ser szwajcarski. Są to tunele różnej długości i od czasu do czasu miasta i fabryki, w których przebywają roboty i kierujące nimi admnany.

Zgodnie z wyjaśnieniami profesor Latony okazało się, że Marsjanie już przed setkami tysięcy lat wynaleźli teleskopy, przez które zaczęli obserwować Ziemię. Z upływem czasu instrumenty te były coraz bardziej ulepszone oraz wynaleziono inne, nie znane na Ziemi spektroskopy, analizatory promieni odbijanych przez Ziemię lub przez nią wysyłanych, cały system wzmacniania i rozszerzenia obrazu Ziemi, mikrografowanie, film analityczny itp. Wszystko to razem już przed wieloma tysiącami lat doprowadziło do tego, że Marsjanie mogli oglądać naszą planetę bardzo dokładnie, tak jakby się znajdowała w odległości — najpierw setek, potem dziesiątków i wreszcie kilku metrów. Z początku obraz był widziany tylko z góry, ale stopniowo, przy zastosowaniu niezwykle pomysłowych przyrządów, zdołali uzyskać obraz z każdej strony, która była im potrzebna. Opanowali wszystkie zjawiska natury świetlnej i posiadli głęboką znajomość życia ludzkiego i dziejów człowieka. Niektóre zjawiska umykały jednak ich obserwacji. Nie mogli na przykład nie się dowiedzieć o głosie ludzkim ani o tym, co dzieje się we wnętrzu ludzkich siedzib.

Cały sztab specjalnie wykwalifikowanych pszczoł od tysięcy lat prowadził te obserwacje — fotografował, filmował, analizował, opisywał itd.

W archiwach, na metalowych i plastikowych taśmach i płytach, za pomocą systemu znaków elektrycznych, zapisane zostały dzieje Ziemi od najdawniejszych czasów aż do ostatniej chwili.

Królowa Aspazja, ponieważ sama jest Greczynką, specjalnie interesowała się światem antycznym i dlatego historia Grecji i Rzymu były opracowane szczególnie dokładnie. To było też przyczyną powstania Nowych Aten. Profesor Latona, jak się okazało, była naczelnym dyrektorem Instytutu Badania Ziemi, a poszczególne działy kierowali uczeni ziemscy. Widzieliśmy nawet kilka razy z daleka ludzkie postacie w togach, ale na nasz widok zawsze gdzieś znikali.

Wiele pszczoł krzątało się tutaj lub siedząc na niskich taboretach robiło jakieś obliczenia. Coś zapisywały elektrycznie na magnetycznych tabliczkach.

Na zlecenie profesor Latony pszczoły uruchomiły w oddzielnej sali jakiś wielki, dziwny aparat. Profesor Latona nazwała go „retroskopijnym telewizorem”.

Na srebrzystym ekranie, w sposób niezwykle plastyczny, oglądaliśmy w skrócie minione dzieje człowieka.

Następnie przeszliśmy do Wież Wiatrów Andronika. Tutaj we wzorowym porządku stało osiemnaście kadłubów naszych rakiet. Od „Glorii I” do XVIII. Oglądaliśmy je w ponurym milczeniu. Nie był to przyjemny widok.

Obejrzelśmy jeszcze kilka pięknych gmachów, jak pagórek Museion, Szkołę Platona — Akademię, Lykeion — szkołę perapatetyków — liceum założone przez Arystotelesa, Amazeion — świątynię wzniesioną przez Tezusa na pamiątkę zwycięstwa odniesionego nad Amazonkami.

W powrotnej drodze zaszliśmy do Panteonu — były tu figury wszystkich wielkich ludzi starożytności Grecji: filozofów, poetów, malarzy, rzeźbiarzy, architektów, wodzów, mężów stanu, mówców i retorów. Stały tam również złote figury naszych największych uczonych, którzy brali udział w ekspedycjach.

— Cóż więc teraz będzie? — szepnąłem. — Co będzie z nami?

— Hm — namyślała się i trzęsła starczą głową — zaryzykuję tym razem własne życie. Nie jest ono już wiele warte. Stoję nad grobem. Tyle lat... tyle lat... Postaram się ułatwić wam ucieczkę. Trzeba, aby ktoś z was skomunikował się z tym Byliną. Niech jeszcze czeka, a bomb naturalnie, nie rzuca. Muszę z wami odbyć pewną rozmowę. Nikt o niej nie może wiedzieć. Bardzo ryzykowna rozmowa, lecz jeśli ma dojść do tej ucieczki, to musicie mieć oczy otwarte. Może ta rozmowa zdejmie z was czar Aspazji... Powinna zdejść... Tak myślę. Czekać więc tymczasem w spokoju.

— 78 —



Królowa Aspazja udzieliła nam audiencji. Wreszcie ujrzelśmy ją bez pośrednictwa fal radiowych. Odbyło się to w Partenonie pod posągami Pallas-Ateny, we wspaniałej sali tronowej, kaplającej od złota, drogich kamieni i kryształów.

Królowa siedziała na tronie w cudownie pięknej, szafirowej sukni. Nad czołem jej rzucała blaski nieduża korona z błękitnych brylantów. Na serdecznym palcu lewej ręki miała gryby, złoty pierścień z figurką niebieskiej Afrodyty — bogini miłości.

Jak się okazuje, jest jeszcze piękniejsza niż w telewizji i bardziej pociągająca. Nie mogliśmy wprost oderwać od niej wzroku. Jakaś siła ciepła i porywająca promieniowała z niej.

Zapytała nas czy dobrze się czujemy i jak nam się podoba w jej państwie? Rzecz prosta, zaszarowani, czuliśmy się świetnie i wszystko nam się tutaj nadzwyczaj podobało.

Słowa nasze tłumaczyła profesor Latona, wystrójona w purpurową togę i czerwone sandały. Jak się zdaje jednak, królowa rozumiała świetnie nasz język uniwersum.

— Czy bardzo tęsknicie za Ziemią? — zapytała.

— Nie — odrzekł za nas wszystkich admirał.

— Dlaczego?

— Ty, pani, przesłaniaś nam cały świat — powiedział szczerze.

— Chcieliście mnie zabić!

— Nie wiedzieliśmy, że tu jesteś i jaka jesteś, pani.

— Nad niebem marsyjskim jeszcze unosi się wasza rakietą grożąca zniszczeniem.

— Na nasz znak rakietą ta odleci — odrzekł admirał.

— My zawsze — mówiła dalej — jeszcze od wojen peloponeskich, uważaliśmy was i nadal uważamy za agresorów i wandalów. Powiadacie: wiedza, dobro nauki, ciekawość badawcza, żądza poznania. To powtarzały wszystkie wasze ekspedycje, ale my, znając waszą historię, nie mamy podstaw, aby wam wierzyć.

Znów umilkła. W lewej ręce trzymała swoje lśniące berło, z którego spływało zielonkawie światło.

— Osiemnaście razy najężdżaliście moje państwo — mówiła dalej — mimo to, że za każdym razem traciłicie swoje aparaty i ludzi. Nic was nie mogło powstrzymać ani nauczyć, najężdżacie nas oto po raz dziewiętnasty. Bijecie w tę planetę bombami jądrowymi, choć przecież nie daliśmy żadnego powodu. Nigdy nie najężdżaliśmy waszej ojczyzny. Stworzymy obecnie taką potęgę, której nie zwalczą wasze siły.

Królowa była podniecona, policzki jej oczerwieśniały, oczy rzucały szmaragdowe błyski. Kto mógł się spodziewać, że tak będzie wyglądała audiencja?

— Cóż więc mamy czynić? — zapytał admirał bezradnie.

— Zwiedzieliście Marsa... poznaliście wreszcie jego tajemnicę... wasza rakietą czeka na was nietknięta... wszyscy, prócz profesora Townsenda, możecie wracać do siebie. Tam powiedzcie, że Mars nie jest martwy, choć... choć nie jest żywy. Nie chcemy utrzymywać żadnych stosunków z Ziemią. Nie wybieram wojny, ale wybieram obojętność i wieczną odległość...

Potężny nasz admirał, jak w zwolnionym filmie, ciężko, powoli przykląkł na jedno kolano i ręce wznosił do góry.

— O pan! — zawołał zrozpaczonego głosem. — Królowo! Jesteśmy ludźmi i kochamy nasz świat... Ale ciebie, pani, kochamy jeszcze więcej. Błagamy, nie odychaj nas!... Nie wypędzaj!... Pozostaw nas przy sobie... Pozostaw na Marsie.

Były to słowa jakby żywcem wzięte z naszych ust. Bez wątpienia każdy z nas powiedziałby to samo.

— Czego więc jeszcze chcecie? — zapytała.

— Chcemy pozostać przy tobie!...

Spoglądała na nas jakiś czas w milczeniu.

— Więc dobrze... zostańcie!

(D. c. n.)



LATA RÓWNE WIEKOM

Dziewięć lat liczy już sobie socjalizm w Chińskiej Republice Ludowej. Zwykle się mówi, że pojedyncze lata znaczą coś w życiu człowieka, a w życiu narodu liczą się dziesiątki i setki lat. Chińska rzeczywistość obalita jednak to twierdzenie. Tutaj każdy dzień przynosi coś nowego, a każdy socjalistyczny rok równy jest niemal starym dziesiątkom lat. Powie ktoś, że to przesada. Sięgnijmy do powszechnie znanych faktów.

Dziewięć lat temu. Państwo zniszczone długotrwałą wojną. Głód, epidemie, wylewy Żółtej Rzeki trapiły kraj. Ludzie marli jak muchy. Co ranka z chodników Pekinu zbierano zwłoki umarłych w nocy z wycieńczenia i głodu. Tak działa się w stolicy, a co mówić o prowincji!

Kobieta była towarem. Sprzedawano ją mężowi lub do domu publicznego. Tu i tam za pieniądze. W samym tylko Szanghaju zarejestrowano oficjalnie 100.000 prostytutek w 700 domach publicznych.

Miliony ludzi całymi latami poszukiwało pracy. 70 proc. mieszkających na wsi nie miało nawet skrawka ziemi. Wyzysk panował się na każdym kroku. Suchy ryż widywało wielu Chińczyków jedynie w marzeniach.

Wielkie miasta podzielono na eksploatacyjne sektory. U podnóża drapaczy chmur, w świetle neonów bosi chiński rykszarz dniem i nocą biegł po asfaltowych jezdniach.

Ostrzegawcze tablice przed wejściem do parków zawiadamiły, iż „Psom i Chińczykom wstęp surowo wzbroniony”!

85 proc. ludności nie umiała czytać i pisać. Kolonizatorska cywilizacja wniosła w wianie opium jako lekarstwo na nędzę i ciemnotę, i wyzysk.

Do 1949 r. wytapiano około 1.000.000 ton stali rocznie. Cieżki przemysł prawie nie istniał.

Tak wyglądało w wielkim skrócie drugie co do wielkości obszaru, a pierwsze pod względem ilości obywateli — państwo świata.

A w dziewięć lat później? Wiele można by podawać opisów, zestawień porównawczych i statystyk, obrazujących osiągnięcia Chińskiej Republiki Ludowej. Czytelnik podobno nie lubi cyfr, cyfry są suche, czasem nużą. Ograniczamy się więc tylko do trzech problemów, a cyfry, które podajemy mają swoją ogromną wymowę.

Dzisiaj w Chińskiej Republice Ludowej we wszystkich większych miastach oraz 444 powiatach analfabetyzm został w zasadzie zlikwidowany. 90 milionów ludzi uczęszcza na kursy pisania i czytania. Dziewięćdziesiąt milionów ojców i matek siada każdego wieczoru w tych samych ławkach, w których za dnia uczyły się ich dzieci. Oto największa szkoła, jakiej dotąd nie znała historia świata!

W 229 państwowych szkołach wyższych kształci się 447.000 studentów. W tym roku z funduszy władz lokalnych otwartych zostanie nowych 400 wyższych uczelni.

To wszystko dzieje się w kraju, w którym jeszcze dziewięć lat temu było pół miliarda analfabetów.

Stal — użyjmy porównania — to krew dla przemysłu ciężkiego. W tym roku wytopi się 10.700.000 ton stali, a więc jedenaście razy więcej niż przed rewolucją, a dwa razy tyle co w roku ubiegłym.

Pięciolatka dała 1.271 nowych zakładów przemysłowych. Uruchomiono własną produkcję: samochodów ciężarowych i osobowych, samolotów i obrabiarek, telewizorów i aparatów fotograficznych.

Ale to wszystko jest wciąż przysłowiowa kropla w morzu chińskich potrzeb. Przecież to kraj o największym przyroście naturalnym. Tegoroczne plony zbóż oblicza się na około 350.000.000 ton, a więc około 0,5 tony na jednego mieszkańca. Tego lata 600.000 Chińczyków otrzymało dodatkowo 60 kg zboża na głowę.

Tych kilka cyfr nasuwa nieco refleksji. Wynika z nich niedwuznacznie, że w ciągu zaledwie kilku lat Chiny przeobraziły się z kraju półkolonialnego o feudalnych nieraz stosunkach społecznych, w wielkie nowoczesne państwo. I to jest sukces socjalizmu, który wysiłki dzielnych, zdyscyplinowanych, niezwykle pracowitych chińskich ludzi skierował na właściwe drogi.

Nie oznacza to, że odrobiono już wszystko. Niejedno jeszcze wyrzeczenie będzie potrzebne. W Chinach każdy problem trzeba mnożyć przez 600.000.000. Ale w ciągu tych kilku lat socjalizm w Chinach zdołał przywrócić człowiekowi ludzka godność, dał mu pracę i chleb, nauczył go czytać i pisać. To jest socjalizm, który się lubi. Czy to nieprawda, że tych dziewięć lat równa się niemal wiekom?

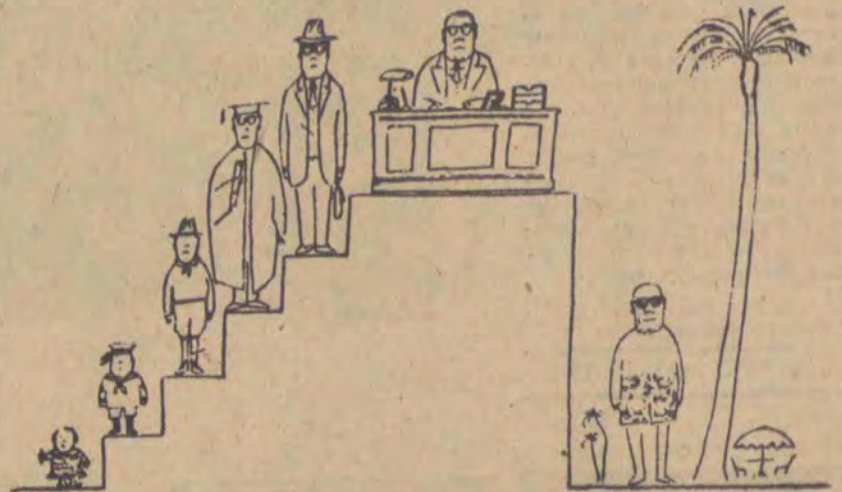


Najostrzejsze ołówki świata

SAUL STEINBERG^{III}



albo
nowa
epoka
żartu



Twórczość Steinberga znana jest w Polsce stosunkowo nieźle; większość naszych tygodników rozrywkowych uznawała za punkt honoru wydrukowanie przynajmniej jednorazowo wyboru jego prac. W owych miniaturowych antologiach zdarzały się jednak pewne nieporozumienia. Oto obok pysznych żartów „z pointą” drukowano nieraz typowe szkice reportażowe, lub impresje rysunkowe, które niekoniecznie powstały z myślą o rozśmieszeniu. Drukowanie „jednym tchem” różnych form budziło uczucie zawodu u ludzi, poszukujących właśnie „niespodzianki”, żartobliwej pointy. A przecież parę zdań komentarza przy takim zestawie mogło sprawę wyjaśnić.

Spróbujmy więc... wyjaśnić, spróbujmy jakoś usystematyzować twórczość Steinberga.

Pierwszy rodzaj stanowią rysunki reportażowe. Steinberg lubi rysować w plenerze, pasjonuje go zwłaszcza architektura. Tu od razu rzuca się w oczy steinbergowskie poszukiwanie kontrastów. Jeden z kapitałnych szkiców z Moskwy przedstawia zaułek przedmieścia, dość obskurne, parterowe dache — ale pokryte setkami anten telewizyjnych... Tak samo reporterskie wizerunki ludzi, znów pokazane na podobnej zasadzie, określane nie poprzez portret psychologiczny, a przez kontrast ze środowiskiem. Ujawniają się tu całkiem niedwuznacznie społeczne sympatie i antypatie humorysty.

W gatunku żartu rysunkowego (przeważnie — bez podpisu) Steinberg wypowiada się najczęściej. Trudno jednak pokrótce zdefiniować nawet jego upodobania tematyczne: wiadomo, że chętnie przedstawia pijaków w barze i dżentelmenów w fotelach, panie w wannie, malarzy, okulistów i fotografów, koty i papugi, że uwielbia rysować (z wyraźną drwiną) zagracone, secesyjne wnętrza... A jednocześnie dowcipny te grają całym wachlarzem barw komizmu — od czystego absurdu, poprzez protest, karykaturę obyczajową — aż do ostrej satyry. I mamy też całą gamę nastrojów — zadumę, sentyment, pobłażanie, szyderstwo. Nawet w najbardziej z pozoru niefrasobliwych żartach możemy odczytać obsesję Steinberga, ostrą niechęć do secesji, snobizmu, mieszczańskich obyczajów Nowego Świata.

Trzeci wreszcie nurt twórczości wielkiego humorysty podlegałam pod miano impresji. Zaliczyć tu należy rysunki o zdecydowanie eksperymentalnym charakte-

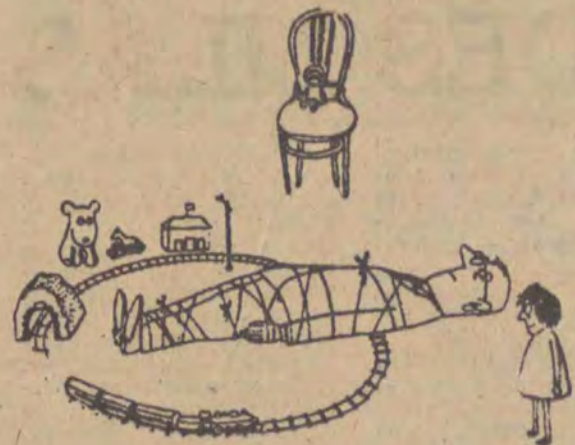
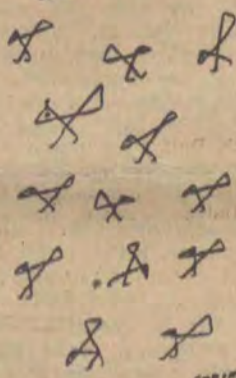
rze. Steinberg poszukuje maksymalnych uproszczeń formalnych, próbuje szkicowania sytuacji, portretów ludzi, zwierząt i przedmiotów (tak, tak!) — zaledwie kilkoma kreskami. Choć w rysunkach tych brak komicznej anegdoty z pointą, to jednak budzą uśmiech. Stąd ten uśmiech, że przeżywamy jednak pewną niespodziankę, zaskoczenie zdumiewającą prostotą formy, gdzie tyle zostało wyrażone precyzyjną kreską...

W ostatnich latach ruchliwy artysta realizuje nowy typ impresji, nazwie ją skrótowo „filozoficzna”. Chodzi tu już o sprawy bardzo „górne i chmurne”. Steinberg próbuje przedstawić w jednym rysunku całą karierę, całe życie człowieka. Najlepiej ilustrują ten eksperyment dwa załączone przykłady.

Na tych wszystkich poszukiwaniach, zmienności, usiłowaniu eksperymentu podporządkowanego głęboką znajomością świata i ludzi — polega wielkość amerykańskiego artysty. Odcinając się zupełnie od wzorów zeszlowieczonej karykatury, Steinberg stwarza nowoczesną, a jednak pełną prostoty, precyzji — i prawdziwie humanistyczną sztukę.

I nie ma znaczenia, że Steinberg uprawia gatunek przez niektórych pogardzany, gatunek, który trafia do odbiorcy poprzez ostatnie strony popularnych magazynów.

J. W.



RACJĘ PANA ANATOLA

Felietonista „Nowej Kultury”, swawolny KTT, urządził pogrzeb cywilny popularnemu p. Anatolowi Kobylńskiemu*). Niektórzy podejrzewają, że KTT zgodził się na naganiacza, trudno bowiem wymyślić lepszą reklamę niż jego felieton. Oczywiście reklamę dla p. Anatola K. Teraz młode dziewczęta walą pod ten adres jak w dym. Wydobły bowiem z felietonu KTT jego (felietonu) racjonalne jądro. Jak bowiem wynika z uwag KTT — p. Anatol K. angażuje do filmu! Ba, p. Anatol K. wysoce ceni sobie inteligencję kobiet, w przeciwnieństwie do mężczyzn. Ha! Może ma ku temu pewne podstawy?

*) „Nowa Kultura” nr 37, „Okno na bzdurę”.

Uwagi przed premierą

PORTE⁽¹⁾ DES LILAS

Pół roku temu grzeszyłem. Wyklinałem rodzime fetowanie Rene Claira i nawet (niech mi to prof. Jackie-wicz wybaczy!) — pomstowałem na pewne prace wychodzące drukiem. Teraz pięknie przepraszam. Wiedziałem „Porte des Lilas”^{*)}. Film, w którym Rene Clair odnalazł siebie, a my — prawdziwego Claira.

Wieloletni dorobek kina można podzielić na rzeczy z gruntu złe, komercyjne, nudne, pompacyjne, sztywne, nijakie — i rzeczy dobre. Dzięki garście ostatnich można w kinie zakochać się na amen i wybaczyć mu nie tylko złe filmy, ale i niektóre kinowe ambicje przybierania „współczesnego” kształtu, często gęsto nie mające nic wspólnego z istotnym urokiem rzeczy. Ostatnio na przykład nadeszły czasy, gdy historyczny protest przeciwko filmowi dźwiękowemu znajduje swoje uzasadnienie. Przybranie dźwięku stało się bowiem pierwszym krokiem kina w dziedzinie nowych poszukiwań. Całe szczęście, że od tego pierwszego kroku do następnego (barwa, szeroki ekran, stereofonia) minęło sporo lat. Dzięki temu kino ma swoją klasykę. No, wiemy przynajmniej do czego będziemy tęsknić. Już teraz, gdy wychodzimy z kina, po którymś z klepskich panoramicznych obrazów (np. „Rose Bernd”) budzą się w nas tęsknoty do starswieckich filmów typu Clai-



Scena z filmu „Porte des Lilas”



rowskich „Pod dachami Paryża”, „14 lipca” czy Marcela Carné „Hoteli du Nord”. Filmem „Porte des Lilas” Clair wychodzi naprzeciw tym tęsknotom. Clair — twórca klasyki i Clair jej zdradca, mający na sumieniu rzeczy robione w innej konwencji — wraca do zarzuconej, specyficznej poetyki, mieszczącej w sobie określony nastrój, określony typ pleneru, określoną długość ujęć, czyli rzeczy najbardziej materialne, obdarzone jedynie czarodziejską mocą oddziaływania na nasze gusty.

I oto absurd. W chwili, gdy kino opracowuje sobie nowe metody pokazywania, oparte od przykładu „Most na rzece Kwai” Leana do magię warsztatową Wellesa (choćby „Dotknięcie zła”) — poczyłwy „Porte des Lilas” bynajmniej nie traci. Przeciwnie wręcz do konwencji pożyczonej z lat dwudziestych. Czy jednak Rene Clair używa tej konwencji dla pokazania tematu zaczerpniętego z kronik

dzisiejszych? Czy ów dawny a ujmujący sposób jest egzotycznym pryzmatem? Nic podobnego. Anegdotka „Porte des Lilas” z powodzeniem mogłaby być osadzoną nawet przed półwieczem. Zmieniłyby się tylko rekwiizyty. Policja nie jeździłaby samochodami, gangster nie strzelałby z pistoletu maszynowego, a wykręć: „Idę na potańcówkę” nie usprawiedliwiłaby wieczornych wycieczek Dany Carrel.

O filmie „Porte des Lilas” muszę pisać entuzjastycznie. Składa się na to zespół warunków obiektywnych, związanych z samą niejaką manifestacją dawnej świetności kina, zalaną obecnie przez powódź rzeczy tuzinkowych, ale robionych z pompą, rozmachem i wystawą, umiejących wyrafinowanie zjednywać sobie zyczliwość widza. Ale na ocenę „Porte des Lilas” zawsze także wredny subiektywizm. Lubię piosenkę Brassensa i wąsatą sylwetkę pieśniarza, a brzyd-

ka Dany Carrel wydaje mi się najlepszą aktorką młodego pokolenia. Przepraszam.

Clair pokazał pazur. Przed wszystkim obsada. Żeby rolę Juju powierzyć Piotrowi Brasseur — trzeba mieć tę samą wyobraźnię, która w „Moście na rzece Kwai” podyktowała Leanowi obsadzenie postaci Nicholsona, Shearsa, Wardena... Tylko kilku ludzi kina potrafi znajdywać obsadę do filmów nie idących na łatwy kompromis typu Andre Car-

(Dokończ w nast. numerze)

EDWARD ETLER

*) „Porte des Lilas”, film produkcji francuskiej. Scenariusz na podstawie powieści Rene Falleta („Kolej wokół Paryża”), reżyseria Rene Clair, zdjęcia Robert Lefebvre, muzyka Georges Brassens. Wykonawcy: Dany Carrel, Pierre Brasseur, Georges Brassens, Henri Vidal, Amédée i inni.



Dlaczego nie chodzę do kina? Początkowo zamierzałem odpowiedzieć krótko: ŚMIERDZI. I właściwie ta odpowiedź mogłaby wystarczyć, zważywszy upartą niechęć rodaków do ciepłej wody i mydła — oraz uwzględniając fakt, że uruchomienie instalacji wentylacyjnych w kinach stanowi u nas problem równie skomplikowany, co budowa elektrowni atomowej...

Ale to ostatecznie nie wyczerpuje sprawy. Nie bardzo jest na co chodzić do kina. Bardzo mi przykro, ale uważam, że z repertuarem kin nie jest tak dobrze, jak nam usiłują wmówić rycerze CWF. Przejrzałem szczegółowo program naszych kin na przestrzeni minionych 12 miesięcy. Wnioski, w postaci listy zdecydowanie złych filmów, już nie mówię — wątpliwych, nie są wcale różowe. Trzydzieści parę pozycji na tej liście, to dość, by rzecz porządnie przewentylować!

Komu są potrzebne takie filmy, jak „Tańczymy wśród gwiazd”, „Rozwód”, „Szatan zazdrości”, „Sprawa Mauriziusa”, czy „Szalona Barbara”? Jakże względy przemawiały za tym, by zakupić „Prawo ulicy”, „Bosonoga comtesse”, „O’Cangaceiro”, „Kamienne horyzonty”, „Jutrzenka”, „Niezwykłego świadka”, „Igraszki z diabłem”? Czy nie ma już lepszych filmów panoramicznych do kupienia, niż „Kurjer carski”?

Tu leży pies pogrzebany — czy nie ma wyboru? Mówi się dużo i głośno o kryzysie kinematografii na świecie, o niedużych festiwalach... Darujcie, mam nieco inny pogląd. Bajanie o kryzysie w naszej sytuacji jest zwykłym mydleniem oczu. Nas ten kryzys nie dotyczy — jeśli przez

10 lat byliśmy praktycznie odcięci od wielu najlepszych osiągnięć kinematografii zachodniej, jeśli przez krótki czas po wojnie nie zdołaliśmy odrobić zaległości lat 1939—45. Jest w czym wybierać!

Chcę być dobrze zrozumianym: wiem, że nie da się zastawić repertuaru z samych arcydzieł. Doceniam całkowicie potrzebę filmu nieproblemowego, „lekkiego”, rozrywkowego, niech taki film ma nawet wyraźną przewagę w repertuarze. Lecz zamiast „Róż dla Bettiny” i „Wujaszka z Ameryki” czy „Rose Bernd” (zadziwiająca pobłażliwość wobec kiczowatej produkcji NRF!) — chciałoby się zobaczyć wartościowy film rozrywkowy... Na przykład — (cytuje pierwsze z brzegu przykłady) — „Dzień do”, „Rozśpiewane życie” Noel-Noela, fernandelowską „Łatającą szafę”, czy choćby „Sprawę życia i śmierci”. Umówmy się. Albo rozsądnie, solidnie przeprowadzamy politykę wznowień i „spóźnionych premier”, albo niechaj członkowie Rady Repertuarowej przestaną nam zamawiać głowę, że mamy w Polsce, (dzięki wysiłkom Rady!), najlepszy w świecie repertuar kin (patrz: liczne enuncjacje p. Bukowieckiego).

Ankieta „Odgłosów” trafiła pod trochę niewłaściwy adres. Mimo wszystko chodzę do kina. Lecz znacznie bardziej chyba, niż zaduch nie wentylowanych sal — mierzi mnie duszna atmosfera smętnych kiczów, którym zbyt często otwieramy drogę na nasze ekrany.

JANUSZ WEYCHERT

CICHY DON
czyli 6 godzin w kinie

Jeśli widz skłonny jest spędzić kilka godzin w kolejce przed kasą biletową, a potem prawie sześć godzin na widowni, to na pewno film, który tę sytuację dyktuje, wart jest uwagi recenzenta.

Ale „Cichy Don” jest zarazem zjawiskiem w równej mierze filmowym — co pozafilmowym. Świadczy bowiem o niebywałym pietyzmie kinematografii radzieckiej w stosunku do utworu literackiego. O ile normalnie przyjęło się we wszelkich kinematografiach świata adaptowanie rzeczy literackich na film z równoczesnym absolutnym nieraz przekonstruowaniem wątków powieściowych, tak „Cichy Don” daje świadectwo metodzie wręcz przeciwnie. Tutaj cała istota kina, a więc ciąg ruchomych obrazów, montaż, dźwięk, a nawet barwa służą nie tylko oddaniu klimatu powieści, ale nawet jej blahych, zdawać by się mogło marginalnych. Czy jednak owo świadectwo „Cichego Donu” wypada pozytywnie? Otóż i to. Niewątpliwie — jeśli już przyjąć za dobrą monetę tego typu zabieg realizatorski jak dosłowne prawie tłumaczenie powieści na film — zabieg ten uwieńczony został pomyślnym rezultatem. Przede wszystkim dzięki odtwórcy postaci Grigorija Melechowa (P. Glebow) a także dzięki temu, że sceny batalistyczne od dawna już stanowią domenę radzieckiego kina.

Inną natomiast sprawą, że sam nagi sposób robienia tego filmu, rezygnujący z wszelkiej kameralności na rzecz zbudowania akcji, o charakterze epickim — odpowiada nam mniej, przytacza bowiem niejedną z zasad widowiska filmowego. Ale jakże



mówić o kameralności, gdy pierwowzorem jest książka Szolochowa, której rozmiar i bogactwo opisu z natury rzeczy kpi z wąskich granic możliwości kina? Przecież taka na przykład „Zbrodnia i kara”, choć rozmiarem prawie bliska „Cichemu Donowi” — w istocie swojej składa się jednakowoż z pojedynczego, zasadniczego wątku, opartego na działaniu kilku postaci, a resztę stronni zajmują rozmyślenia bohatera i jego przeżycia wewnętrzne. Słowem w momencie adaptacji filmowej „Zbrodnia i kara” staje się tematem pojedynczego i samodzielnego filmu, który rzecz jasna, pozbawiony uroku powieści — musi wypaść blade. Natomiast „Cichy Don”, który składa się z żywej akcji fabularnej, rozbitej na dobrą setkę równoległych zdarzeń — jest książką, o której przyjęło się mówić „filmowa” myśląc o jej wymarzonych niemalże predyspozycjach do ekranizacji.

Nie bardziej zawodnego! „Cichy Don” owszem, można przenieść na ekran i Gerasimow dokonał tego w sposób swego rodzaju znakomity. Ale „Cichy Don” z równym powodzeniem mógł być filmem niezamkniętym w trzech seriach, ale składającym się z pięciu a nawet dziesięciu części. Wtedy

jednak realizator nie zdołałby uniknąć sytuacji, że jego bohater w którejś z serii obrzuca od początku do końca występowałby szablą po stronie wrogów Armii Czerwonej. A przy dosłownym rozumieniu rzeczy i w ramach obranej konwencji — nie można było od tego dopuścić.

Obecne trzy serie filmu dają wrażenie bez niedosytu, choć może po jakimś czasie, śledząc akcję obrazu zaczyna nam brakować tych czy innych fragmentów Szolochowa. Bo oto, wciągnięci w sposób opowiadania rzeczy — możemy zapomnieć, że siedzimy w kinie, które ma swoje przepisy i prawa. Gerasimow — reżyser „Cichego Donu” — omijał te przepisy i postępowal im na próżno, a jednocześnie lekcewał sobie prawa. Nie wahał się przed użyciem elementów mających dużą tradycję i nie oszczędzał efektów. Mógł zrobić film oszczędniejszy w dawkowaniu nastroju. Byłby to jednak inny „Cichy Don”, obliczony na mentalność innego odbiorcy. „Cichy Don” utrzymany w ramach innego sposobu, a w sumie — kto wie, może nawet gorszy. Bo wszystko ma swój urok. Niekiedy oleodruk także.

ANDRZEJ JERZY PIOTROWSKI



Czy odpowiedziałeś już na pytanie, dlaczego nie chodzisz do kina?



Piotr Brasseur w roli Juju...